Nr. 46. We Lwowie dnia 18. listopada 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

LIDO.

Gawęda kąpielowo-polityczna w języku polskim, niemieckim, włoskim i „obszczesłowiańskim“ napisana.

— Sechs und achzig, Signore!

— Non mi parlar tedesco.

— Non tedesco? E chi sia?

— Polacco.

— Ah, Polacco.

Taką rozmowę prowadziłem w długich a wązkich kurytarzach stacji morskiej na Lido, pod Wenecją.

Szeregiem szły małe ponumerowane celki, tzw. kabiny, z której jednej szukałem dla siebie.

Obyczajem miejsc kąpielowych włóczyli się po kurytarzu ludzie pół nadzy, obok dam pięknie przystrojonych i dam w trykotach. Hałas i śmiechy słychać było dokoła. Przedemną stał mój przyjaciel, Giorgio, niemłody już, szpakowaty, wąsaty Włoch, niby w marynarskiem szafirowem ubraniu, piękny tą nieco banalną, ale istotną pięknością ludu włoskiego. Był to miejscowy *bagnino* (kąpielowy), który ma obowiązek otwierać gościom kabiny, wskazywać im odpowiednie numery i pilnować porządku. — Przywykły do ludzi różnych narodowości, wyuczył się z każdego języka potrochu i każdego stara się pozyskać jego mową rodzinną. — *O yes!* mówi do Anglików; *Ja wohl!* do Niemców; *Igaz!* do Węgrów. Często jednak narodowości miesza i języki niepodobne do łaciny — uważa za niemiecki. Dlatego też i mnie powiedział *Bitte!* i wskazując na kabinę 86, dodał: *Sechs und achzig!*

Postarałem się go wyprowadzić z błędu — i, jak się zdaje, wyraz ten *Polacco* zrobił na nim wrażenie. W tej chwili się zmienił. Siwo-czarne jego oczy zabłysły, zaczął nerwowo pokręcać szpakowate sumiaste wąsy, nastroszył się, jak kogut, obejrzał się dokoła ostrożnie — i jak stary spiskowiec — zbliżył się do mnie i zaczął mówić szeptem, przytem gestami raczej, niż słowem, myśli swoje objaśniał.

— Polonia! szeptał — wiem, wiem!

Tre! (tu trzy palce podniósł do góry). Russia — Germania — Austria (tu palce ułożył w formie szponów, które duszą ofiarę.) — Nazwiska trzech mocarstw wymawiał tajemniczo — karbonarskim tonem. Poczem wyjął z kieszeni kawałek kredy — i nic nie mówiąc, napisał na ścianie — 63.

— Insurezzione! szepnął. *Molti italiani* — dodał i podniósł rękę do góry, jakby szablą wywijał.

— *Ale!* — tu machnął ręką tragicznie — *Russia!* i znów ułożył ręce w kształt młota, który coś rozwala.

Cała ta mimika znaczyła, że w r. 63 było powstanie, że wielu Włochów przyjęło w niem udział, że jednak Rossja zwalczyła Polaków. —

— *Tirannia!* — szepnął ze zgrozą i zakończył — *Tre!* i znów trzy palce do góry podniósł.

— *Sara una!* powiedziałem.

— Ale kiedy? *Terribili potenze!* Poczem dodał — jakby w nagłem objawieniu: Trzy siostry — Italia, Ungheria i Polonia — (tu ręce splótł, co miało oznaczać przymierze trzech narodów), zwalczą Moskwę i inne potencje. Taką stworzywszy nową *Triple-alliance* uspokoił się co do losów Polski — i zaczął mówić nieco głośniej. — Poczciwy ten „rycerz wolności, który został dozorcą kabin kąpielowych“ — (mówiąc stylem Maeterlinka) — był jeszcze co do pojęć politycznych romantykiem garibaldowskim z r. 1848.

Pragnąłem już się dostać do kabiny, aby się rozebrać i iść do kąpieli, gdy zauważyłem rosłego jegomościa o żółtawej łysinie i brodzie, o cienkiej szyji i cienkich łydkach, który stał w pobliżu nas już obnażony — w czerwone majtki przystrojony i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

— Sie scherzen! — powiedział. — Sie verstehen ja doch die deutsche Sprache!

— O, sehr wenig, mein Herr! odparłem — i zniknąłem w kabinie. —

Nie mam tu zamiaru opisywać ani samej wyspy, ani morza, ani kąpieli: innym razem to uczynię; chcę tylko opisać szczególny splot zdarzeń, który mnie, „poszukiwacza gwiazd i nieskończoności“, zmusił do rozprawy politycznej, tj. do rzeczy, która jest dla mnie arcyniemiłą — a zwłaszcza w Wenecji śród tych przedziwnych cudów sztuki i natury, wobec których polityka zdaje się kłótnią dzieci źle wychowanych.

Giorgio — mimo swych lat pięćdziesięciu poskoczył do innego z ptaków wędrownych, wołając: *O Yes!* a ryży jegomość w czerwonych majtkach ruszył w morze.

Jegomość ten wyznaczony mi był na dziś przez jakieś tajemnicze wyroki niebieskie.

Po wyjściu z kąpieli — ruszyłem do kawiarni zakładowej — i przy sąsiednim stoliku spotkałem go w towarzystwie niemłodej, przysadzistej, szerokonosej kobiety o wodniście szarem oku. Zdawał mi się znajomy: taki sam żółtopopielaty włos i takie same okulary miał mój niegdyś nauczyciel języka rosyjskiego, Siemion Leontjewicz Stefanowicz. Ale to nie był on; choć miał typ nauczyciela rosyjskiego, mówił po niemiecku z szerokonosą damą, zapewne swą małżonką. — I nagle patrząc na morze, które się niebieszczyło i złociło dokoła, i które na horyzoncie unosiło szereg purpurowych żagli łodzi rybaczych — nagle zawołał: *Czort waźmi, kak eto choroszo.*

Tu się zdradził, choć zaraz nanowo do niemczyzny powrócił. Zauważyłem wogóle, że rosjanie w podróży ukrywają się ze swoim językiem; mówią po niemiecku lub po francusku — i dopiero, kiedy ci jaka dama powie: *Und jetzt gehe ich nach Nieapol* — odgadujesz jej narodowość.

Teraz też odrazu wyczytałem zdaleka napis na pstroczerwonej okładce zeszytu, który leżał obok Stefanowicza (tak go nazywam przez pamięć na mego profesora). Był to *Słowiański wiek* — pierwszy zwiastun oddziaływania kultury moskiewskiej na Europę. — Z pismem tem zapoznałem się później — i powiem o niem kiedy indziej: jest to osobliwe bagnisko, w którem myśl słowiańska właściwie jeszcze nie urodzona, już tak zniepráwioną została brudem i kłamstwem, że ten przyszły wiek słowiański zapowiada się bardzo nieponętnie. —

I znów znaleźliśmy się koło siebie na statku S. V. L. *(Societa veneta lagunare)*, kursującym co pół godziny z Wenecji na Lido i z powrotem. Pokład uginał się pod ciężarem ludzi: bardzo wielu z braku miejsca stało. Ja z moim towarzyszem wsunąłem się na niezajęty posterunek — i oto znalazłem się w sąsiedztwie profesora.

Wracaliśmy do Wenecji. Słońce zachodziło jaskrawo za dalekie wyspy — za Malamocco, za Palestrinę — za nadbrzeżne wzgórza na stałym lądzie Italji. —

Morze krwawiło się od czerwonych płomieni chmur — i wichrzyło się zlekka, szarpiąc złoto i rubiny zachodu słońca — na drobne skry i płaty ogniste — i coraz to barwę swą zmieniało. Na szmaragdowo-fioletowych, gęstych jak oliwa, ruchomych a ciężkich płytach wody, zaświeciły nagle podłużne języki pomarańczowe i srebrne, a statek nasz, wpadłszy w ten wir kolorów, naprzód je rozbił na sto tysięcy iskier, a potem wywołał poza sobą olbrzymią smugę barw najgorętszych, przyziębionych czarną zielonością morza. — Ale tu zachód słońca szybko się rozwiewa. Niebo w prędkim czasie stało się szare, mdłe, aż z przeciwnej strony ukazał się ledwie dostrzegalny cienki rożek księżyca. — Pociemniało na niebie i na morzu. Szarozielona, trytoniczna niejako fala pomrukiwała tajemniczo, jakby z lekka rozgniewana; ale ujęta w karby kamiennych tam kanału — nie mogła się rozwichrzyć

PEREŚWIT.

WYSTAWA.

Oto ma się pod koniec, — nie światu starożytnemu, nie, — ale tylko wrzawie długiej i zgromadzeniu dziwów przeróżnych, dowodów siły i wiedzy, fantazji — i blagi.

Wystawa gaśnie.

Paliło bo się to przecie jaskrawością i blaskiem, ciągnęło do siebie oczy, a teraz za chwilę powie się tylko: była.

No, zwykły los: przemijają i większe rzeczy, a gdyby się za przeszłością wszelką oglądać...

A jednak z ciągu ostatnich dni paru obejrzało się całe miasto ogromne za temi, którzy odeszli kędyś...

Kędy? wiemy jeno, że fakt się stał dziwny bardzo i straszny.

Od wieków fakt ten ludzkiej naturze przeciwny, ową naturę pogwałca.

Od wieków ludzkość na śmierć codziennie patrząca, przyzwyczaić się do niej nie umie.

A musi patrzeć, a musi.

Gdyby nie ona dwulicowość tej śmierci, ale w tem właśnie jest przerażenie nasze odwieczne.

Bo dwa oblicza fakt ten posiada: ukojenia i... grozy.

W porównaniu do życia czyli do zgiełku i krzywdy... śmierć się wydaje niekiedy ukojeniem, podobnem do szczęścia.

Zdaleka ponad zgiełkiem i krzywdą unosi głowę cichą i senną i, zda się, powiadającą: „Zapomnisz.“

Napijesz się tajemnicy i w tajemnicy wielkiej utoniesz.“

Senliwa, spokojna, obiecująca — z daleka.

A z bliska? ale za to co z bliska?

Przychodzimy, a nieraz umęczeni życiem —

— i jak dziki zwierz na łańcuchu cichła powoli: jej przygłuszone wycie zmieniało się w łagodne dzwonienie jakby cienkich szkiełek — i poczęła wionąć jakiemś tchnieniem rybich słonych zapachów. Tymczasem statek zbliżał się do Wenecji: minęliśmy już ogrody publiczne: wychylała się z wody ponura wyspa San Georgio Maggiore, cała kirem osłonięta — z jednem tylko światełkiem małej latarni; migotała złocista kopuła D o g a n y — i jak anioły, w szary mrok zasnute, białością niewyraźną jaśniały klasyczne kopuły Santa Maria del Salute: kształty ich uwydatniały się od złotych ogników, któremi świeciły statki morskie, przybyły z Fiume i Tryjestu, spoczywające koło Dogany.

Widać już niższe piętra Campanilli - i różowe ściany pałacu dożów i tysiące świateł na Riva de Schiavoni. Z wieży San Marco, której przedziwną sylwetę tylko fantazja dostrzegała, nagle zahuczały dzwony potężne i rozlewały się po całej Wenecji — po kanale — i szły w dal odległą, niewiadomą.

San Marco — jest to szczególna budowla: pagoda indyjska — meczet arabski — bazylika grecka— wszystko, tylko nie to, czem jest: nie kościół katolicki.

Stawiana jeszcze przed schizmą, świątynia San Marco ma charakter bizantyjski, wschodni, grecki — albo, jak się mówi, w Warszawie prawosławny. Rzeczywiście robi ona wrażenie cerkwi, budowanej w formie krzyża greckiego, naśladując kopuły św. Zofji w Konstantynopolu. Kościół św. Marka cały jest w barbarzyńskich, cudownych mozaikach; niema w nim ani jednego obrazu; święci rzymscy jaśnieją tu obok greckich Akakiów, Teofrastów, Chrysobułów.

Te dzwony — ach, te dzwony!

Na wodach głos się rozbija; muzyka brzmi tu głucho, jakby się urywała co chwila: dla tego dzwony tu muszą huczyć ogromnie, aby się ich dźwięk nie rozpływał w powietrzu. Takie dzwonienie naturalnem było w Bizancjum, naturalnem jest i w Wenecji. Na tych obszarach wodnych robi to wrażenie potężne, ale nie da się zaprzeczyć, że w dzwonieniu tem jest tradycja wschodnia, której Wenecja zapożyczyła od Greków. Święty Marek wenecki — to jedyny może kościół katolicki, który dzwoni na sposób prawosławny.

Dźwięki te rażą na zachodzie, zwłaszcza nas, dla których ton ów wiąże się z całym szeregiem pojęć złowrogich — nie mających oczywiście żadnego związku z religją.

Towarzysz mój właśnie zwrócił uwagę na to podobieństwo.

— Czemuż ten Marek dzwoni tak prawosławnie? —zapytał, jak urażony w niezagojoną ranę.

Zapytanie to stało się dla mnie powodem do żartobliwej odpowiedzi, którą umyślnie dla mego sąsiada zacząłem prowadzić w obszcze-słowiańskim języku.

(Nawiasowo zapytam, czy w tem nazwaniu nie ukrywa się dwuznacznik, dotyczący stosunku języka wielkiej potencji słowiańskiej do innych g w a r tegoż szczepu).

— Jakto, zapytałem kolegę, — czy nie wiesz gdzie jesteśmy? Toż to *Wenecjańskaja gubernja*, zwana też *pryadryjskim krajem*. Wiadomo, że Wenecję założyli sławiano-rusy—i że to *skoni ruskaja zemla*, która też była zawsze prawosławną, a jeżeli potem *ksiendzy sowratili* wenecjańskich ruskich ludzi *w katoliczestwo* — to niedługo my to zmienimy: już tu się odbywa *wostanowlenje prawosławja*... Należy przecież raz wreszcie przypomnić sobie Wenecjańską Ruś: jak dobra matka — nasza monarchja powinna wszystkie Rusi *„wozsojedinit“*: Ruś halicką, Ruś morawską, Ruś dalmacką — i wszystkie Rusi... Czyś nie czytał o tem w E p a r c h j a l n y c h w e n e c j a ń s k i c h w i a d o m o ś c i a c h? Podobno ma być język włoski

---

nadmiernie, przychodzimy, wyciągający dłonie do śmierci. —

I wtedy ona, jak cień, się chyli ponad migotliwością życia i barwą. —

I światło wszelkie gasi.

I wtedy ona, jak mróz okrutny, wciska się w ciepło życia. —

I wszelkie ciepło ginie.

W cieniu wielkim i w grozie rwać coś i szarpać poczyna.

Ona to zerwie, czego dotykać nie wolno, co jest najtrwalszem ze wszystkich rzeczy stworzonych, rozpaczliwie uparte i silne. — To instykt przemożny życia.

W bliskości śmierci porywa się bowiem do walki, pomimo bólów przebytych, nostalgji do odpoczynku i braku wszelkiej nadziei, wybucha teraz protestem, przerażeniem i buntem. Przez chwilę jedną walka nierówna i gwałt naturze ludzkiej zadany, a potem —

Cicho, zagadka i zgroza. —

Dlatego przerażające oblicze twe, ciemna pani.

Kult pamięci umarłych tu bardzo rozpowszechniony w Paryżu: ta wiara serca przetrwała inne wiary. W dniu wszystkich świętych i w dniu zadusznym nie pyta się, kędy oni ci zmarli? i czy wogóle znajdują się jeszcze gdziekolwiek ci ukochani i zmarli? Idzie się, nie pytając, na cmentarz i kładzie się na mogiłę wieńce z paciorek, ażeby tym oddalonym powiedzieć: oto kochani tutaj jesteście, a wiecznie.

Nawiasem mówiąc, te paciorkowe wieńce są brzydkie i oszpecają mogiły, ale to już obyczaj francuski.

Przypominam sobie w Bretanji cmentarzyk wiejski na szerokiej zielonej płaszczyźnie. Linje krajobrazu łagodne i takie — jak odpoczynek, spokojne, równina pól pokrajanych przez drogi proste, ujęte w dwa długie, szare kamienne wały.

A tam... na granicy smuga ogromna, sina.

wyrzucony ze szkoły — i na jego miejsce wprowadzony rosyjski, a na dworcach, pocztach itd. ogłoszony będzie ukaz: *Zapraszczajetsia gaworit' po italjański*. Dopóki ruble kwitną — sławiańszczyzna może spać spokojnie.

Mowa ta zdaje się poruszyła nieco mego sąsiada.

— Ach, wy, pany Polaki! Ja zaraz odgadłem szto wy po ruski goworitie! Ale wy sobie z nas żartujecie. A wied' Rossja — tak cóż? matka wszystkiego słowiaństwa. — Wy nas nienawidzicie, a ja ot wszystkich Słowian kocham. — I dlatego to ja mówię, że mi się nie podobają *miary*, jakie rząd stosuje do Polaków...

— Bardzo sprawiedliwie!

— Panie — rzekł Stefanowicz — gdyby Rossja nie uciskała Polaków — to już dawno — dawno język rosyjski byłby obszczy-słowiańskim...

— Ach, więc *da liegt der Hund begraben?* Więc pan jest *za wozsojedinienje słowian?*

— Naturalnie! Toż to panie wielkie dzieło: Polacy, Czechy, Serby, Kroaty, Bułgary i Ruś — wszystko jedno — wszystko razem — i żadnej różnicy między niemi...

— Wszystko po rossyjsku?

— Imienno...

— Niezupełnie mi się to podoba. Wybaczy pan — mało jestem biegły w sławianofilstwie — i nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, w czem mogą pomoc narodowi rosyjskiemu np. Polacy lub Czesi.

Ta forma zapytania była zdaje się dość niespodziewana dla sz. sławianofila, zmieszał się nieco i powiedział wreszcie.

— Ależ przeciwnie... Rossja pomoże jednym i drugim — i wszystkim, jak dobra matka.

— Niby jak? w jakim celu?

— Ano przeciw Węgrom, przeciw Turkom, a głównie *protiw Niemca!*

— Patrzcie no! Szkoda, żeście dotąd nic nie zrobili.

— Jakto nic? A cóżby były bez nas Czechy, Serby, Chorwaci?

— Czesi, panie — zawsze sami sobie radzili i sami sobie poradzą. Rossja nawet palcem dla nich nie kiwnęła.

— Samo nasze imię przeraża wrogów...

— Być może. Ale Czechom siłę do walki dało nie imię Rosji...

— A cóż?

— Rewolucja francuska — miły panie — idea samodzielności narodowej, która już teraz umrzeć nie może... Ta sama rewolucja, która jest przeciwieństwem Rosji — i ta sama idea samodzielności narodowej, która jest zaprzeczeniem *waszego* panslawizmu...

— Wy zawsze byli najgorsze *wragi sławiaństwa*...

— Być może. Aby zdusić ducha samoistności narodowej, musicie zdusić ideje rewolucji; a gdy zdusicie ideje rewolucji, zniknie prawdziwy duch słowianizmu i mogliby Czesi lub Poznańczycy się zniemczyć. Ale tego nie będzie.

— A Poznańczycy, czyż nie zginą w niemieckiem morzu...

— Poznańskie Rosja dała Niemcom na pożarcie, ale i Poznańczycy pomocy waszej nie potrzebują. Sami oni dadzą sobie radę z Niemcami... Raz niechaj Słowianie tę prawdę uznają, *że Rosja nie ma z Niemcami żadnych sprzecznych interesów, i że nieraz jeszcze dwa te państwa będą się wspólnie dzieliły łupami, zdartemi ze Słowian, czy nie-Słowian.* Z Niemcami mają walkę tylko Czesi i Polacy; dla reszty Słowian, Niemcy prawie nie istnieją — i nie można od nikogo wymagać, aby do tej walki się wtrącał. Chorwaci, Serbowie i inne ludy mają inne walki.

— Ale wszystkie Germany łączą się na zagładę słowiańszczyzny.

To ocean bezmiarem dotknął się lądu — i patrzy.

Spojrzenie jego dzisiaj jest bardzo ciche.

Odpoczynek. —

W całym obrazie prostota wielkości leży.

Cmentarzyk czworokątny, opasany murem niskim i gładkim, kilkanaście drzew, rozstawionych spokojnie, splątania i gąszczu niema.

Krzyżyki w prostych szeregach i równych. Mogiły powinny być gładkie, zielone, niepokalane pstrokacizną żadną i plamą.

A tutaj przeciwnie, pstrokate wieńce i brzydkie rozsypały się jako plamy nieznośne i psują odpoczynek w pokoju.

Gdy mowa jest o cmentarzach, przychodzi na myśl pytanie, kiedy nareszcie do Ojczyzny powróci jeden z największych i najbardziej utęsknionych i smutnych.

„Ty będziesz widział moje białe kości,
„W straż nieoddane kolumnowym czołom,
„Alem jest jako pielgrzym, co zazdrości,
„Mogił — popiołom.
„Więc, że nieznane gotujesz mi łoże.
„Smutno mi, Boże.“

Czasby już — temu z obcego miejsca powrócić.

I tak — pogoda jesienna uspasabia do myśli o końcu. Ciepło jest jeszcze, ale posępnie i ciemno i mrok ten uparty zdaje się mówić, że dosyć.

Dosyć tonów gorących, ruchliwości, wesela, bo idzie zima, jako „memento mori.“

Pod niebem pobladłem zabawka ogromna gaśnie.

Trzeba teraz po onej sławnej wystawie chodzić, a żegnać. —

Tu — tam — bez celu błąkać się jakoś, aby spojrzenie położyć ostatnie. —

Można n. p. raz jeszcze obejrzeć tak zwany zakopiański pawilon i raz się jeszcze zadziwić, dlaczego zamiast rzeczy oryginalnej i swojskiej pokazaliśmy obcym to, co nijakie jest i banalne?

— Nie wszyscy Germanie — bo nigdy ani Anglicy, ani Holendrzy, ani Skandynawja nie marnowali czasu na ideje jałowe i martwe. Połączyli się Niemcy, co jest rzeczą logiczną i naturalną — a i tam nawet na północo-zachodzie jest liczne plemię, które mówi raczej po flamadzku, niż po niemiecku — i Niemcy prześladują ten język tak właśnie, jak wy — prześladujecie małoruski. Gdybyście tam skierowali swe ruble, to moglibyście bez trudu wywołać rozdwojenie w Niemczech.

Słowianofil był przeciw uznaniu Małorusinów za osobny naród, uważał ich po prostu za ruskich, „jęczących pod jarzmem Lachów“. Bezładna ta rozmowa kończyła się — śród świstu kotłów parowych, jako zapowiedzi, że zbliżamy się do stacji; śród skrzypu sznurów, przywiązujących statek do brzegu, śród wrzawy ludzi, śpieszących z pokładu na *passerellę* i na kamienne wybrzeże Wenecji — naprzeciw *Ponte dei sospiri*. Swoją drogą — namiętność gadaniny politycznej tak nas opanowała, żeśmy nie ustawali — i dalej prowadzili dysputę, którą tylko Marja Iwanówna przerywała, mówiąc od czasu do czasu:

— Ach, ostaw!

Profesor mówił wciąż o jakichś okropnych morzach niemieckich, łacińskich, węgierskich w których zatoną Słowianie: Rosja zaś będzie tym rybakiem, który ich w swoje sieci wyłowi, uratuje od zagłady, i sama pochłonie. Ostatecznie, jeżeli mam ginąć, wszystko mi jedno, czy zginę w bagnisku czarnem, czy żółtem.

Czas już był skończyć ostatecznie i pożegnać się ze sobą. Uczyniłem to w możliwie najgrzeczniejszych formach i rozmyślałem dalej o tym kolosie nicestwa i obłudy, jaki stanowi Rosja, która ma piętno swoje wycisnąć na przyszłym wieku, na słowiańskim wieku! Będzie to wiek bardzo smutny, najsmutniejszy ze wszystkich, gdyż będzie to wiek rzeczywistego najazdu Mongołów na Europę, a Słowianie utoną w tem mongolskiem morzu...

Rozmyślałem też nad tym przedmiotem i doszedłem do pewnych wniosków, które później czytelnikom naszym przedstawię. Tymczasem stanąłem ze swym kolegą przed świętym Markiem, którego mistyczne kształty zdawały się, jakby z baśni czarodziejskiej wyjęte i zapytałem go: — Wobec tylu cudów, pocóż się ludzie zajmują poityką?

A jednak oddałem się tej fali.

Z. Kwieciński.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XIII.

Cisza, co była zaległa wioski chodzkie po spaleniu dokumentów, poczynała się mącić. Lustrzana powierzchnia wód, pod którą drzemała burza, jęła się marszczyć, kołysać, falami bić!

Uchwała, powzięta na tajnej naradzie u Rzehurzka, pozyskała zupełną zgodę i ze strony tych, co na niej nie byli. To też wybrana wówczas deputacja udała się niebawem pod wodzą Justa do Wiednia. Just, rozprawiał podczas podróży długo i szeroko o swej umiejętności radzenia w każdej potrzebie, o tem, jak trudny dostęp do cesarza i jak on, Just, potrafi zwalczyć wszelkie przeszkody przy pomocy stosunków i pieniędzy. O prawdzie jego słów, co do tego przynajmniej, że w Wiedniu potrzeba wiele pieniędzy, Chodo-

---

Dlaczego postaraliśmy się usilnie, by zepsuć?

Doprawdy zbytek pokory. —

I tak nie zanadto bijemy tu w oczy światu. Wszystko, co nasze, rozproszone jest bowiem, jak paczka szpilek w ogromnym stogu siana. —

Trochę tu, trochę ówdzie, niewiele.

Ale — bo nie lubimy hałasu.

Był tu n. p. zakopiański domek ciekawy, oryginalny, mogący zwrócić uwagę, postaraliśmy się, że — niema. Ewangeliczna pokora.

Na pawilon finlandzki po raz ostatni warto z szacunkiem popatrzeć i żalem.

Jak to rozumnie urządzono, umiejętnie i ładnie. Jak tutaj, — może w przededniu walki tragicznej, pokazano, stwierdzono żywotność narodu.

Prostota i godność wielka i rozum.

Biedny kraj... teraz z kolei idący na pokarm nienasyconej przepaści i ciemnej. Biedny kraj! czy potrafi nie dać się połknąć za życia?

W jednym z rogów pawilonu jest oddział pracy. U wejścia odezwa:

„Bracia, ręka w rękę walczmy za postęp, swobodę, dobro i szczęście.“

I ustęp z biblji: „I rzekł Bóg, niech się stanie światło...

I ujrzał Bóg, iż światło dobre było“...

Fiat lux!

Nie widać.

Co będzie w tym wieku przyszłym, tak bardzo bliskim, że niemal nas już dotyka? —

Fiat lux!

Nie — widać.

wie mieli sposobność przekonać się wnet po przyjeździe, sięgał bowiem często, bardzo często do sakiewki Psutki, na którego ręce uczestnicy tajnej narady złożyli pewną kwotę na utrzymanie Justa i pokrycie wszelkich innych wydatków.

Słowa, danego sobie wzajemnie wówczas u Rzehurzka, nie złamał nikt: deputacja oddawna znajdowała się w drodze, a nietylko na zamku, lecz i po wioskach niewiedziano o niczem. Gdy nagle do pana Chodów nadeszły wieści aż z Wiednia!

Radca nadworny z Sachsengrünu, wierny protektor Lammingera, nie omieszkał go powiadomić o ponownem zuchwalstwie, na które się ci Chodowie poważyli.

Niemal jednocześnie poczęto mówić głośno o wyprawie po wszystkich wioskach i wszystkich chałupach chodzkich. Z tą jeno różnicą, że tam nie dziwiono się wcale zuchwalstwu chamów. Dla nikogo przecie nie było już tajemnicą, że się o Chodów na dworze pytano. A chociaż z początku była mowa, że zapytywał o nich kanclerz — daleko szerszy posłuch zdobył sobie wkrótce warjant, wkładający wiadome wyrazy w usta samego cesarza. Przebąkiwano też tam i ówdzie, że nie wszystkie dokumenty uległy zniszczeniu, że parę z nich pozostało w Ujeździe. O tej ostatniej nowinie szeptali jednak między sobą jeno starsi górale, bacząc, aby ich nie podsłuchiwano. I w najcichszym wszakże szepcie nikt nie napomykał nigdy, gdzieby się ocalone owe papiery mogły znajdować obecnie. Każdy drżał o ich całość, rozumiejąc, jak ważny punkt oparcia dawały w rozpoczynającej się walce. Natomiast imię Jana Koziny odzywało się często w tych rozmowach, wypowiadane głośno i szeptem, a zawsze z szacunkiem i zaufaniem, które młody gazda sobie zjednał śmiałem wystąpieniem przeciwko Lammingerowi na wójtowstwie.

Inny duch powiał teraz na chodzką krainę. Ci, co po zniszczeniu dokumentów stracili byli wszelką nadzieję, dumnie podnosili teraz czoła. Wielu wspominało kometę, która niedawno jeszcze paliła się na niebie.

— Czemuż by miała zawsze zwiastować same klęski? — powiadali. — Czemuż by nie mogła być choć raz zapowiedzią pomyślności?

Jeden tylko stary Przybek potrząsał niedowierzająco głową, powtarzając z uporem:

— Sprawiedliwie powiadacie: każdziuteńka chometa cosi oznacza. Widziałech kilka w swojem życiu, ale zawdy potem następował głód, wojna, abo mór.

Słowa starca nie znajdowały jednak echa. Ogół Chodów witał nowy rok z nadzieją radośną, tem radośniejszą, że właśnie nadeszły o tym czasie pierwsze wieści z Wiednia. List pochodził od Justa i był adresowany do sąsiada w Domażlicach, który wręczył go Janowi. Just donosił, że podróż mieli pomyślną i że wnet po przybyciu, rozpoczął starania o audjencję u cesarza i że znalazł znakomitego adwokata, rodem z Czech, który powtórzył słowo w słowo to samo, co on, Just, twierdził na naradzie u Rzehurzka, a mianowicie, że wygrają niewątpliwie, będą jednak mieli dość trudności do zwalczenia, bo sprawa bardzo zadawniona i Lamminger ma tu możnych przyjaciół.

Wiadomości, nadesłane w liście Justa, przebiegły wnet całą ziemię chodzką z krańca w kraniec, budząc wszędy jak najróżowsze nadzieje.

Znalazły też one potwierdzenie w liście adwokata Sztrausa, który upewniał, że prawa Chodów nie uległy przedawnieniu i nie utraciły mocy, pomimo spalenia dokumentów. Lamminger, decydując się na ten krok, nadużył owszem władzy starosty, z czego on, Sztraus, nie omieszka wyciągnąć wniosków, obciążających możnego pana.

Serca rosły Chodom, gdy słuchali ustnego opowiadania o liście Sztrausa, lub odczytywali jego kopje. A gdy nadeszło pisanie od Psutki, w którem wójt postrzekowski zdawał sprawę z audjencji u dworu i powtarzał obietnicę samego cesarza, że stanie się im wedle prawa, — wówczas nawet stary Przybek zapomniał o komecie i jął z większą nadzieją w przyszłość spoglądać.

Jedna tylko osoba nie radowała się powodzeniem deputacji chodzkiej, nie brała udziału w tryumfujących rozmowach na temat blizkiego nad Lammingerem zwycięstwa. Tą osobą była Hanka. Ogarniał ją strach, — wielkooki strach. Rozumiała teraz dla czego mąż wydalał się tak często ostatniemi czasy z domu. Wiedziała, co znaczyły jego narady z matką! O, ta kobieta, z żelaza chyba urobiona i nie matczyne bije w niej serce!

Nie uspokoi się, nie da za wygranę, dopóki własnego nie zgubi syna... I jak może być dla matki coś droższego na ziemi od dzieci? — Hanka pojąć tego nie mogła i oburzała się na teściową. Po co ta stara kobieta miesza się do spraw, które należą do mężczyzn? — Po co wciąga do nich syna? Albożnie dość jej tego, co widziała na wójtowstwie i co potem Jan musiał wycierpieć w więzieniu? Każda inna matka byłaby zaklinała na wszystkie świętości syna, aby nie gubił siebie i dzieci. — A ona!...

Tak roztrząsała Hanka w myślach postępowanie teściowej w pierwszej chwili goryczy. Zdania nie zmieniła i później, lecz miłość do męża przemogła w niej gniew i w pewne popołudnie niedzielne młoda gosposia wybrała się w odwiedziny do wdowiej chaty starej Chodki. Nie spodziewała się, że za dobre serce tak gorzka spotka ją zapłata. Trzeba jeno było widzieć, jakie oczy na nią zrobiła ta nieubłagana kobieta, gdy Hanka zaczęła mówić ze zwykłą sobie słodyczą o Janie i grożącem mu nowem niebezpieczeństwie! Dokończyć jej nawet nie dała, gdy biedaczka zaczęła prosić, aby przecież starała się wpłynąć na syna i odwieść go od takich rzeczy.

— Oszalałaś, Hanko, czy co? — wybuchnęła wdowa. — Chciałabyś ino zawdy z Janem w chałupie siedzieć. Rad cię widzi, sama wiesz o tem, ale to przecie chłop, nie jakowaś tam stara baba. Są też rzeczy, o których człowiek zabaczyć nie śmie... Przyszłaś ku mnie, jako i ku matce. Hej. Matką jestem, nie wilczycą i dzieci miłować umiem, uczyć mię tego nie potrzebujesz. Troszczę się też o przyszłości twoich dziatek, — zabiegam, aby szczęśliwsze były od nas i nie potrzebowały tańczyć, jak panowie im zagrają.

Hanka sama nie wiedziała, jak minęła podwórze i dostała się do chałupy. Tu wybuchnęła głośnym płaczem. Bolały ją słowa teściowej, dręczył niepokój o męża. Chciała się przemódz, gdy Jan wrócił do domu i widząc, że ma zaczerwione oczy, pytał, co się stało, lecz łzy puściły się jej znowu ciurkiem. Nie wspomniała ani jednem słowem o matce, ale jęła go zaklinać, aby pamiętał o sobie i o dzieciach. On ją pocieszał, uspakajał, nie ukrywał jednakże tego, co się stało, cofnąć nie można i że cieszy się z takiego obrotu rzeczy.

Jakoż rzeczywiście jaśniej było mu teraz na duszy. Dni rozterki wewnętrznej i walki z sobą samym minęły niepowrotnie. Kości były rzucone. Walka się rozpoczęła. Ogólny szacunek i zaufanie nagradzały sowicie krzywdę, którą mu wyrządzali dawniej najbliżsi, nie wyłączając matki. Mężne jego serce, które należało przedtem wyłącznie do żony i dzieci, biło teraz inaczej. Gotów był wszystko poświęcić, aby doprowadzić do skutku walkę, która rozpoczęła się była tak smutnie, a teraz pomyślniejszy wzięła obrót. Jedno tylko napełniało go troską i niepokojem. Wiedział, że górale z Postrzekowa nie poszli naganiać panom zwierzyny na łowach, że z Chodowa nie posłano fur na zamek, a ze Straży i Tłumaczowa nikt nie poszedł młócić do pańskich stodół. Taki bunt przeciwko władzy, przed rozstrzygnięciem procesu, był w jego oczach rzeczą złą, bo dawał broń w ręce panom.

Wójt Syka podzielał w zupełności jego zapatrywania.

— Poszukujemy sprawiedliwości na krzywdy, które się nam dzieją, a spotkać nas może kara za własne winy — niepokoił się wójt, rozmawiając z Janem u siebie w domu tej samej niedzieli, kiedy Hanka była u teściowej.

Naradzali się jeszcze, jakby zapobiedz złemu, kiedy do izby wszedł Maciej Przybek. Chmurna i surowa jego twarz miała tego dnia wyraz pogodniejszy, a w oczach zapaliły się iskry, gdy począł mówić sam, bez pytania:

— A no, nie wszyscy jeszcze prawi Chodowie wymarli! — Jan i Syka domyślili się wnet, co przez to rozumiał. Jakoż Maciej jął opowiadać nowinę, którą przynosił z miasta, że między młodym Szerłowskim a gajowym przyszło do zaciętej bójki, która o mało nie zakończyła się śmiercią tego ostatniego.

— I o cóż to poszło? — zapytał Syka.

— Gajowy chciał mu zagrabić strzelbę.

Syka zmilczał, ale Kozina potępił stanowczo zachowanie się Szerłowskiego.

— A cóż miał począć? — zawołał gniewnie Maciej. — Miał-że oddać strzelbę, a może jeszcze pozwolić się wysmagać i do sądu zaprowadzić?...

— Nie powinien był chodzić do lasu.

— Jakto, od ciebie to słyszę, Kozino? — wybuchnął Maciej, uderzając pięścią o stół.

— Hej, odemnie. Nikt nie powinien teraz polować. To woda na pański młyn. Jeszcześmy sprawy nie wygrali. Poczkajmy, aże...

— Aże nas do imentu zdepczą! Powiadam ci, Kozino, hań we Wiedniu nam nie pomogą, jeno nosy nam utrą. Oto jedyna nasza pomoc! — I Maciej śmignął w powietrzu ciężką swoją ciupagą. — Przed nią zadrżeli by dopiero panowie, nie zaś przed nędznemi szpargałami.

— Na to jeszcze czasu będzie dość—odpowiedział Kozina — a wierzaj mi, że te bójki mogą wszystko zepsuć.

Syka, który mu przytakiwał, chciał właśnie zabrać głos, gdy przed wójtowstwo zajechały sanie, a w chwilę potem Krzysztof Hruby ukazał się we drzwiach.

— I wy tutok! — zawołał wesoło. — Ale czemuś taki posępny, Macieju, a ty, Jaśku, czemu lica masz czerwone, nito wielkanocna kraszanka?

Syka wyjaśnił mu w paru słowach, o co chodziło.

Białowłosy góral położył rękę na ramieniu Macieja i mówił uspakajająco:

— Tyś jeszcze z tych dobrych, starych Chodów. Ale widzisz, teraz mamy inaksze czasy. Teraz ciupaga wszystkiego nie rozstrzyga. I, co prawda, nie będzie jej może potrzeba...

Tu sięgnął pod płaszcz i wyjął list, dopiero co otrzymany od Psutki. Syka, czytając go, aż w ręce klasnął. W Wiedniu uznano sprawę Chodów i wyznaczono komisję dla rozpatrzenia ich sporu ze szlachetnie urodzonym panem z Albenreuthu. Twarz Koziny zapłonęła podczas czytania nagłą radością, Hruby, jakkolwiek znał już treść listu, słuchał z napiętą uwagą i uśmiechniętemi usty. Jeden tylko Maciej pozostał obojętny.

— To jeszcze nie koniec. Do wyroku daleko - mruknął niechętnie. — Co mi tam po jakiejś komisji...

— Co po komisji? — zawołał Kozina, zrywając się z ławy i zwracając do Przybka. — Wszak chyba pamiętasz jeszcze „perpetuum silentium“, które nakazano ojcom naszym, ogłaszając im, żeśmy utracili wszelkie prawa i że musimy wiecznie milczeć. Wszak pamiętasz, jak z powodu tych dwóch słów łacińskich ludzie chwytali się za głowy, jak klęli, płakali, narzekali. Zapytaj swego ojca. A jeśliś tamto zapomniał, to może pamiętasz, jak się Lomikar uśmiechał, gdy nasze papiery w ogniu syczały! Sądził wtedy, że wszystko skończone, żeśmy jego niewolnikami na wieki... A jednak nie jesteśmy nimi dotąd...

— I da Bóg, nie będziemy — dokończył poważnie wójt drażenowski.

Ale Maciej nie odpowiadał. Zaciął jeno silniej jeszcze wargi i utkwił posępny wzrok w ciupagę, o którą opierał żylaste, silne dłonie....

(C. d. n.)

Z pism i książek.

Przewodnik bibljograficzny. Rocznik XXIII, zeszyt 11.

Cenne to wydawnictwo, założone w roku 1878 przez zmarłego w b. r. nieodżałowanej pamięci dr. Władysława Wisłockiego, historjografa naszej Almae matris, przez ciąg lat niespełna 23 z wielkim nakładem pracy prowadzone przez niego — po krótkiej przerwie wychodzi nadal w Krakowie pod redakcją dr. Adama Chmiela. Śmierć dr. Wisłockiego, zasłużonego kustosza Bibljoteki Jagiellońskiej, która nastąpiła dnia 3. czerwca br., zachwiała byt „Przewodnika bibliograficznego“, jest to bowiem wydawnictwo, które nietylko, że nie zwraca włożonych weń kapitałów, lecz jeszcze i przynosi deficyt, więc wydawnictwo, egzystujące ofiarnością jego redaktora. A jednak jest ono nader ważne i u nas jedyne, nie można go bowiem porównywać, z miesięcznymi katalogami, wydawanymi na sposób księgarski, nie zaś bibljograficzny, przez firmy „Paprocki S-ka w Warszawie i „L. Grendyszyński“ w Petersburgu! W dodatku jest to wydawnictwo, wymagające bardzo mozolnej i skrzętnej pracy, aby mogło odpowiadać wszelkim wymaganiom bibliografji, która u nas traktowaną jest po macoszemu. Z całą więc świadomością ważności tej publikacji krakowskie „Towarzystwo numizmatyczne“ wzięło na siebie dalszy jego byt.

Na zeszycie „7 do 9“ (za lipiec, sierpień i wrzesień) jako redaktor podpisany: Adam Chmiel. Zeszyt ten jednak wraz z poprzednim Nr. 6 (czerwcowym), przygotował do druku w znacznej części p. Franciszek Łukomski.

Stosunki redakcyjne nie są jeszcze stanowczo ułożone i pewne. Aby wydawnictwo to tak ważne istniało nadal, rozwijało się i stało na wysokości swego zadania, koniecznym jest szerszy współudział księgarzy i wydawców w nadsyłaniu publikacji swoich redakcji „Przewodnika bibljograficznego“ i większe zainteresowanie się ogółu bibljografją pracy umysłowej polskiej. To większe zainteresowanie się ogółu, ewentualnie poparcie wydawnictwa tego przez zwiększenie ilości prenumeratorów, jest wprost koniecznem, ów bowiem zasiłek Akademji Umiejętności, wydawany redakcji „Przewodnika bibljograficznego“ jest tak mały iż jeśli ilość odbiorców „Przewodnika“, czasopisma, podającego w zeszytach miesięcznych wiadomości nie tylko o osobnych dziełach, lecz i o pracach, zamieszczanych w czasopismach krajowych i zagranicznych, o ile te ostatnie dotyczą rzeczy polskich — nie zwiększy się, to byt jego stanowczo i poważnie zagrożonym będzie. Gorąco więc polecamy wydawnictwo to naszym czytelnikom.

Hen. Ul.

E. Łuniński. Na stos. Petersburg. Grendyszyński. 1901.

Śród młodych historyków polskich, p. Ernest Łuniński odznacza się nie tylko sumiennością i erudycją, ale też śmiałością poglądów i umiejętnością pisarską. — Najnowsza jego praca pt. *Na stos* — raz jeszcze wykazuje Szajnochowskie, że tak powiem, cechy jego talentu. Książka ta omawia nader ciekawy moment z dziejów Jana III, mianowicie oskarżenie, proces i śmierć męczeńską Kaz. Łyszczyńskiego, oskarżonego o ateizm. Dotychczas, zwłaszcza wolnomyślni traktowali Łyszczyńskiego, jako bohatera wolnej myśli — w rodzaju Giordana Bruna lub Vaniniego. Tak zrobił np. Adryan Krzyżanowski w dziele „Starożytna Polska“, a za nim Świętochowski i inni. P. Łuniński jednakże, który do pracy swojej przejrzał wszelkie możliwe dokumenta źródłowe, podaje w wątpliwość te poglądy. Jakkolwiek wszystkie rękopisy Łyszczyńskiego inkwizycja spaliła wraz ze swą ofiarą, to jednak wiele dowodów przemawia za tem, że śmierć Łyszczyńskiego była tylko wynikiem omyłki sądowej. Sąd bowiem oparł się zbyt ufnie i bezwzględnie — na nieprzyjaznej delacji sasiada Łyszczyńskiego, niejakiego Brzoski; autor rozprawy znajduje liczne świadectwa na dowód fałszu delatora. Porównywa on sprawę Łyszcz. do sprawy Unruga, w której jednak fałsz delatora był zbyt jawny i został zdemaskowany. Tu zaś delator, owszem został jeszcze nagrodzony połową majątku Łyszcz. — Byłaby to jeszcze jedna legenda rozwiana. — Książka p. Łunińskiego pomimo całego nagromadzenia erudycji — czyta się, jak romans.

Dodać trzeba, że w przedmiocie swych badań, p. Ern. Łun. zeszedł się z p. Krechowieckim, który też samą postać maluje w swej nowej powieści: *O Tron.*

A. Lange.

Błażek Bolesław: Studja psychometryczne. (Pomiary na uczniach.) W okładce ozdobnej, przypisane *Almae Matri Jagellonicae.* 1900 w 8-ce, str. 126 i 4 ul. Kor. 3.

W ostatnich czasach, szczególnie na Zachodzie i w Ameryce, zastosowano metodę badań psychofizycznych do celów szkoły, analizując sposób pracy ucznia, przyczynę jego dyspozycji i niedyspozycji. Badania te, obok statystyki, stały się źródłem reform szkolnych. W „Studjach“ autor podaje wyniki własnych badań i pomiarów, robionych na uczniach swych w jednem z gimnazjów we Lwowie za pomocą precyzyjnych fizjologicznych przyrządów. Autor starał się dojść do prawidła o postępie znużenia w stosunku do czasu trwania nauki, a także o wpływie nauki domowej na udział ucznia w nauce szkolnej.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.